

Antonina Więcek

Szkoła Podstawowa im. Jana Markiewicza

w Orzeszkowie

ANTONINA WIĘCEK

Nazywam się Antonina Więcek i mieszkam w małej, dolnośląskiej wsi- Orzeszków. Nasza miejscowość jest wielokulturowa. Mieszkają w niej Polacy, Ukraińcy, Łemkowie. Wszyscy są dla siebie mili i w ciężkich chwilach pomagają sobie. Jest to zapewne spowodowane tym, że większość z nas to potomkowie osiemnastu rodzin zatrzymanych po wojnie w Orzeszkowie przez Rosjan, aby zająć się ogromnym folwarkiem. Teraz z tego dworku niewiele zostało, bo jedynie dwa zamieszkane czworaki i jedna, ogromna, wałaca się stajnia.

Gdy nauczycielka historii opowiedziała nam o konkursie, postanowiłam dowiedzieć się czy mam w rodzinie kogoś z Kresów. Okazało się, że mój wujek, Edward Nyczka, mieszkający nieopodal żył na Kresach i przybył do wsi Tymowa wraz z rodzicami i rodzeństwem. Dowiedziałam się od niego wielu ciekawych rzeczy. Nigdy nie podejrzewałam, że wujek ma tak ciekawą historię...

T.W.: Jak, wujku, Twoi rodzice znaleźli się w Tymowej?

E.N.: Mieli wybór albo przyjmą obywatelstwo radzieckie, albo wyjeżdżają do Polski. Wybrali Polskę. To było w 1945r. Wciąż mam ich kartę ewakuacyjną napisaną po ukraińsku i polsku. Najpierw dojechali do Katowic, potem sami wybrali wieś Tymowa.

T. W.: Co zabrali ze sobą do Polski?

E.N.: Gospodarze mogli wziąć więcej, ale tato był kolejarzem, więc w zasadzie nic nie wziął. W ostatniej chwili odkupił od jakiegoś gospodarza krowę i to z nią przyjechali. Poza tym w karcie ewakuacyjnej mieli wypisane, co i w jakiej ilości mogli wziąć.

T.W.: Czy ludzie chętnie jechali do Polski?

E.N.: Ludzie przeżywali różne rozterki, gdy musieli wyjechać. Polki i Polacy kochali się w Ukraińcach i Ukrainkach. Musieli się rozdzielić. Były przypadki, że Ukraińcy jechali za swoimi ukochanymi.

T. W.: Co było dalej?

E.N.: Po przyjeździe należało się zgłosić do P.U.R. Zameldowali się. Najpierw mieszkali w Katowicach, potem w Opolu. Następnie przyjechali do Ścinawy. Podróż była straszna i długa.

Rodzice jechali kilka miesięcy, a jechali z nami- dziećmi. Na każdym przystanku ojciec jeździł na rekonesans i szukał odpowiedniego miejsca. Gospodarstwa były rozbudowane, z maszynami pozostawionymi przez Niemców, ale rodzice nie wiedzieli, jak tego używać...

T.W.: A jak trafili do wsi Tymowa?

E.N.: W zasadzie przez przypadek. Każdy musiał sobie znaleźć wolne gospodarstwo, w którym często mieszkali jeszcze Niemcy. W domu, w którym zamieszkali moi rodzice, mieszkały jeszcze dwie rodziny niemieckie. Dom w Tymowie leżał blisko PKP, więc to bardzo odpowiadało tacie.

T.W.: Jak na siebie reagowali?

E.N.: Niemcy byli tak przestraszeni przez Rosjan, że ucieszyli się, gdy wprowadziła się rodzina Polaków. Rodzice przyjechali z zapasem żywności i karmili Niemców, którzy przymierali głodem. Polowali nawet na wróble. Po wojnie, gdy wrócili Niemcy do wsi Tymowa, to bardzo dobrze wspominali wspólne posiłki. W ogrodzie po Niemcach rosły szparagi, w Polsce teraz stają się popularne, a Niemcy już po wojnie je uprawiali i bardzo lubili.

Niemcy wcale nie chcieli wyjeżdżać, ale zostali zmuszeni. Musieli zostawić swoje majątki. Mogli zabrać ze sobą tylko mały wózek rzeczy.

T.W. : Jak żyło się po wojnie na Dolnym Śląsku?

E.N.: Ciągle wierzyli, że wrócą z powrotem. Nic nie chcieli zmieniać. Czuli, że to nie ich dom.

Żyło się średnio. Tato zarabiał bardzo mało, bo pracował na kolei. Dostali przydział ziemi, na którym mieli uprawiać warzywa, ale rodzice nie mieli siły, żeby obrabiać dwa hektary, a nie mieli konia. Jeśli ktoś pomagał orać koniem, to dzieci musiały później odrabiać. Było to bardzo ciężkie. Ja na odrabianiu wytrzymałem pół dnia. Miałem wtedy ze dwanaście lat.

T.W.: A pamiętasz jakąś zabawną anegdotkę z tamtego okresu?

E.N.: Ludzie musieli spakować się przed przeprowadzką szybko. Mieszkali na kresach na dobrej ziemi- tam był czarnoziem. Więc brakowało tam kamieni do kiszienia kapusty. Moi rodzice zabrali duży, ciężki kamień. Wieźli go przez te kilka tygodnia jak zobaczyli, że tu są całe góry kamieni przy polu, to go, wściekli, wyrzucili.

Innym razem, ale to już później, mężczyźni organizowali sobie wyścigi konne, oczywiście tylko ci, którzy mieli konie. Jechali na oklep, czyli bez siodła, a jechali przez wieś. Tylko wtedy nie było takiego ruchu drogowego i nie było asfaltu.

T.W.: Jak spędzali wolny czas?

E.N.: Na początku wszyscy byli bardzo zżyci. Człowiek spragniony był drugiego człowieka. Spędzali czas razem, więc jak były na wsi chrzciny czy wesele, to przychodziła cała wieś.

Tworzyły się nowe pary. Były takie spontaniczne potańcówki. Franek brał harmonię, szedł z nią przez całą wieś i grał, więc wszyscy do niego dołączali. Bawili się na świetlicy wiejskiej całą noc. Sprowadzali się ludzie z różnych stron, np. Łemkowie, Ukraińcy, Białorusini, Polacy z kresów. Żyliśmy obok siebie w zgodzie. Mój ojciec też organizował zabawy, w pokoju bawiło się pół wsi.

T.W. : Kto jeszcze mieszkał wtedy na tych terenach?

E.N.: Cyganie. Byli dla nas wielką atrakcją, bo podróżowali kolorowymi wozami. Podróżowali od wiosny do jesieni całymi taborami. Cyganki chodziły po domach i wróżyły. Często chodziły we dwie i gdy jedna wróżyła, druga coś kradła. Mojej sąsiadce ukradły śmietanę, którą ta długo zbierała. Często też straszono dzieci, że ich Cyganie porwą, ale nic takiego nie miało miejsca. To też był swoisty klimat, gdy się pojawiali.

T.W.: Jakie były jeszcze zabawy?

E.N.: Pamiętam kino objazdowe. Przyjeżdżali do wsi i była to ogromna atrakcja. Ludzie schodzili z pola w trakcie pracy, żeby coś obejrzeć.

T.W.: Co jeszcze, wujku, pamiętasz?

E.N.: Nikt nie remontował domu. Dopiero następne pokolenie zaczęło remonty. Wszyscy wierzyli, że Niemcy zaraz wrócą i wszystkich wyrzucą. Miałem nawet sąsiadów, którzy nie zamieszkali w samym domu, tylko mieszkali w jakiejś komórce. Niemiec powiedział mojemu sąsiadowi przed odjazdem, żeby pilnował odcieków, żeby wilgoć nie weszła. Oni też myśleli, że wrócą.

T.W.: A czym się ludzie zajmowali? Pracowali tylko w polu?

E.N.: Nie, mój ojciec pracował na kolei, byli nauczyciele. Oprócz tego były też zawody, których już nie ma... Był też w każdej wsi kowal, stolarz, piekarz. Wieś była samowystarczalna. Byli też na wsiach szewcy, akuszerki. Choć ja musiałem sam odebrać poród żony i zrobiłem to z książką instruktażową w ręku.

Byli też druciarze, którzy chodzili i łatali garnki, bo wtedy nie można było pojechać i kupić sobie nowego. Był też szmaciarz, który jeździł wozem zaprzężonym w konia. Sprzedawał garnki, a skupował szmaty, prawdopodobnie na przędzę. Skupował też butelki. Na początku było bardzo dużo domokrążców, np. ostrzyli noże i nożyczki.

T.W.: Miał twój tato jakąś niebezpieczną przygodę?

E.N.: Tak, raz, jak pracował na kolei, zobaczył w nocy grupę Ruskich, idących na kolej. Tato uciekł przez okienko i potknął się, na szczęście, bo wtedy jeden z nich strzelił. Potem tato ukrył się w komórce, ale i tam go znaleźli. Tato się jakoś wytłumaczył i puścili go wolno.

T.W.: A czego dziś już nie ma, a Ty, wujku, jeszcze pamiętasz?

E.N.: W każdym domu musiał być sprzęt przeciwpożarowy przed domem: bosak, piach do gaszenia, drabina, siekiera, tłumica. Pamiętam, że to była drucziana tyczka obciążona materiałem.

T.W. Dziękuję, wujku, za rozmowę.

Do wywiadu z wujkiem przysiadła się jego żona, czyli moja ciocia i jej dwie siostry. Dużo dopowiadały i sporo się śmialiśmy. Okazało się, że i one pamiętają Orzeszków zupełnie inaczej. Moja babcia pamięta nawet dworek w Orzeszkowie, restaurację i piekarnię! Żałuję, że tamte czasy już odeszły. Uważam, że były niezwykle interesujące.